

Illustration
PARADA



ROK I

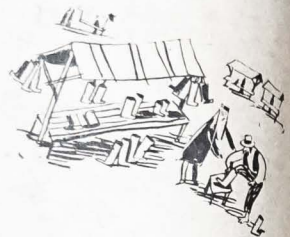
NIEDZIELA, 27 CZERWCA 1943 R.
SUNDAY, JUNE 27, 1943

Nr 6

CENA EGZ.: w Egipcie P.T. 2, w Palestynie 25 mils., w Iraku 30 fils., w Iranie 3,5 Rls., w Anglii 6 d., we Wsch. Afryce 6 d.



ZAMOŚĆ
RATUSZ



TOWN HALL IN ZAMOŚĆ



KRAKÓW
WAWEL



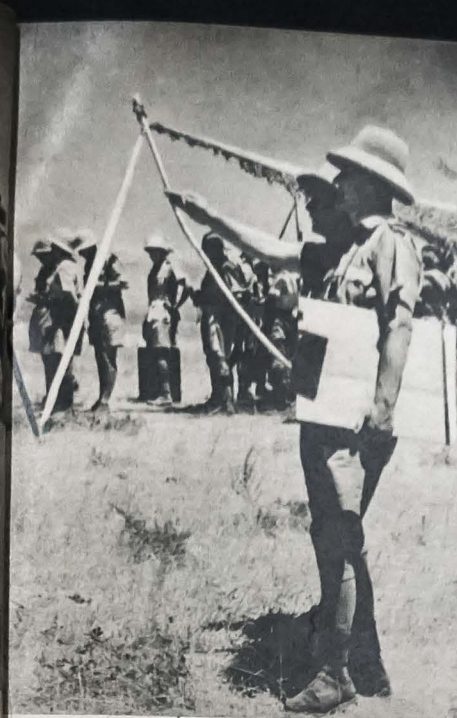
COURT OF THE ROYAL
CASTLE IN KRAKÓW



Samochody pancerne defilują przed Naczelnym Wodzem



Na punkcie obserwacyjnym w czasie ćwiczeń



Omówienie ćwiczeń przed Naczelnym Wodzem



punkcikami w nagrzanym powietrzu, gdy już pierwsze trójki czołowe zajeżdżają przed trybunę. Ściana kurzawy idzie z nimi i kładzie się na orkiestrze, która grzeje w jakiejś niewidomej brązowej przestrzeni, wydobywając dźwięki beztroskich, frywolnych, wsiowych piosenek.

„ZAPRZESTAĆ OGNIA!”

Gdy chcesz oglądać formacje — idź na defiladę. Ale żołnierza pojedynczego zobaczysz tylko na ćwiczeniach. Jeżeli to jest ćwiczenie z ostrym strzelaniem — zobaczysz go tym lepiej.

Właśnie pewnego dnia czerwoni uderzyli na niebieskich. Ku obiadowi sfłamsili ich, zajmując pozycje wyjściowe i miało nastąpić natarcie z ostrym strzelaniem.

Grupki „niebieskich” znikły, zostawiając na oschłych wzgórzach roje czarnych tarcz. A taka tarcza, to cekaem, a siaka to erkaem, a owaka to jeszcze co innego.

Jestem skromny, więc wyimaginowałem sobie, że taka mała tarcza, oznaczająca erkaem, to ja, dzielny wojak Szwajk, który tam leży i pierze do czerwonych.

„O wschodzie słońca ryknęły spiże” pisze poeta z pewną przesadą, bo o wschodzie słońca wodzowie spali.

Spiże więc ryknęły po południu, ziemia stanęła dęba fontannami wyrzucanego piachu i kamieni, pociski z granatnic, rozbłykające krwawymi ogniami, zasnuły dymem teren, ale przez luki otwierające się raz po raz widziałem, że dzielny wojak Szwajk stał nienaruszenie i niezłomie.

Po przygotowaniu artyleryjskim czerwoni ruszyli do ataku.

Zbiegłem do nich i szedłem z pierwszą linią, dysząc pomstą i pragnąc wziąć sobowtóra do niewoli.

Leżący u moich nóg erkaemista wyszarpnął z torby nowy magazyn, załadował i przyłożył się do kolby.

Poszła seria i „ja” stanąłem w pyłkach kul ryjących grunt. Inni zapewne też pomogli. Bo kiedy wreszcie dopadłem do tarczy, naliczyłem w niej 72 przestreliny.

Inne tarcze spotkał ten sam los. Wroga nie było. Trąbka zagrała i po szeregach — podaj dalej — poszła komenda „zaprzestać ognia”. Każdy ze strzelających chłopaków krzychał lojalnie „zaprzestać ognia” i gorączkowo dudnił po tarczach aż ziemia drżała.

— Sam miałem pakę za strzelanie po „zaprzestać ognia” — mówi z rozczuleniem porucznik-rozjemca.

Wreszcie zacięło strzelanie. Oficer dowodzący plutonem spuszcza serdeczne „opeer” strzelcowi cekaemu za przegrzanie lufy. Chłopak stoi, jeszcze nie kompletnie rozumiejąc, mrugając oczkami, przed którymi zapewne migają jeszcze tarcze celownicze.

Żołnierz stygnie, plutony stają w trójszeregi, oficerowie kontrolują broń, czy jest rozładowana, długie portki opuszczone na czas ćwiczeń zostają upięte na kształt szortów — raz, dwa, — raz, dwa — falują trójki w odmarszu do dnia codziennego.

I znowuż — przerywając ten dzień codzienny — na pochylonym stoku wzgórza rozpala się mapa Polski.

Dni pobytu Naczelnego Wodza są pełne atrakcji — tak potrzebnych w piaskowej monotonii.

Mapę Polski brzęcą bańki z palącą się ropą. Kompania wojska z bronią w rękę wchodzi od wschodu — połowa żołnierzy natychmiast zaciąga wartę u wschodniej ściany, połowa idzie przez

Polskę, podchodzi do zachodniej granicy, kopie, przewraca, usuwa bagnętami — gasi palącą się granicę.

Audytoria żołnierskie — a jest ich nie wiadomo ilu w tej ciemni nocnej — tężeje w zimnym uniesieniu. To nie cywile, mają już dosyć rzemiosła w sobie, by wiedzieć, że to nie będzie niekosztowne przewracanie baniak z palącą się ropą.

Teraz czekały uroczystości główne. Główne — bo miało być wielkie przemówienie Naczelnego Wodza. Główne — bo w dywizji Strzelców Karpackich.

Demokratyzm demokratyzmem, oddział oddziałów równy, ale cóż na to poradzić, kiedy Wódz Naczelny, przyjąwszy defiladę tego najmłodszego pułku, powiedział: „Maszerowaliście jak gwardia, mam nadzieję, że będziecie się bili jak gwardia”.

Więc jeśli kto gwardią — to Karpacka.

Pierwszego dnia dywizja zaczęła od ćwiczeń. Poczuliśmy od G. P. O. — to znaczy od głównego punktu opatrunkowego o 2 km za frontem. Popreparowanych rannych noszono na noszach, trzymano na stołach operacyjnych, troskliwi sanitariusze poili ich zimną kawą. Sambym za takiego typu się położył, bo z gorąca języki nam pozyschały.

Od G. P. O. — na wroga!

— Patrzenie! — ktoś pokazuje ręką.

Nie dostrzegamy niczego. Marne ścierniska arabskie buchają białym żarem. Aż wreszcie widzimy: to głowy zapadłej piechoty, z pozatykanymi włosami na kamuflażowych siatkach hełmów. Dożynki — dalipan!

Wysiadamy z wozu. W pewnej chwili ktoś mnie chwytą za rękę. Spostrzegam, że ściernisko pode mną jest na siatce i wpadłbym w dół posterunku obserwacyjnego artylerii.

Druty się mnożą — biegną po ziemi tęcząc znane sobie sprawy. W pewnym miejscu z pod ziemi dobiega głos: to dowódca baonu informuje Naczelnego Wodza o dylokacji.

O „godzinie Z” działa poczynają grać. Podrywają się łańcuchy w dożynkowych wieńcach i idą za prowadzącym ogniem artyleryjskim. Już piechota niemal dopada linii, na której kofuje się ziemia rwana przez pociski. Rakietka strzela z pośród atakujących szeregów — wzywa do przeniesienia dalej ognia. Mały żołnierz przysiadł jak żółw na stoku, chwycił się nad nim antena, jego towarzysz woła w skorupę — stację radiową, którą tamten nosi na plecach: „Przedłużyć ogień, przedłużyć ogień!”

Dwie sylwetki podciągają dwumetrową „bengalorę” — rurę z eksplodującym materiałem na linię drutów. „Bengalora” pęka, ci z nożycami pędzą na druty, by dokończyć dzieła.

I podczas, kiedy pierwsza linia przelewa się za wyłom, ukazują się carryery, by wesprzeć pościg. Ukazują się p. pance, by się na zdobytej już ziemi zaprzeć i nie popuścić.

Około mnie przebiegają z noszami sanitariusze, a po tym przychodzi cisza i znów zaczyna mżyć szarańcza.

Z daleka, od linii przesuających się wciąż ku rzece wybuchów (bo wszak rozgrywka idzie o przeprawę), wstaje skłębiony ogień. To od pocisków zapaliło się wyschnięte pole.

GALA W D. S. K.

Odbyła się na drugi dzień. Przemknęliśmy na nią, zwykli śmiertelnicy, rychło w czas bo objazd rzeki daleki.

Wóz Naczelnego Wodza wziął w stalowe paluszki kran, uniósł na parędziesiąt metrów i złożył na przeciwnym brzegu.

(Dokończenie na str. 14-ej.)

Obsługa telefonu polowego na zamaskowanym samochodzie



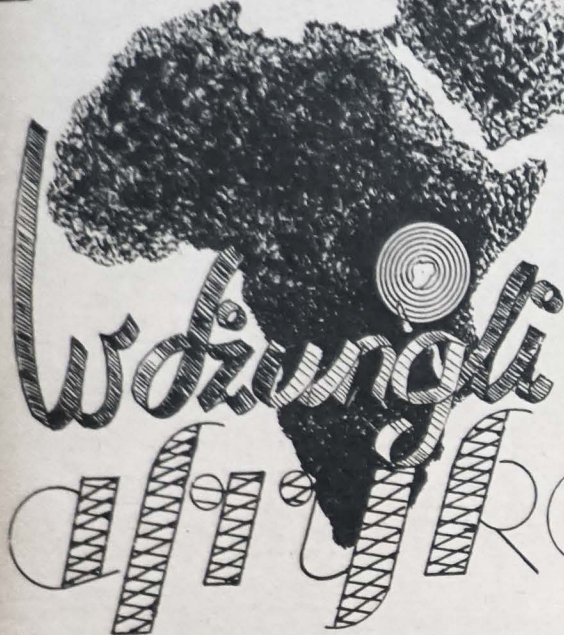
Stanowisko obserwacyjne rozjemców



Generał Sikorski i Generał Anders obok działka ppanc.



POLACY



Wódz i wojna AFRYKA WSKRISIA

JANUSZ KNAKE

Korespondencja własna „PARADY”

Już 8 miesięcy minęło od czasu, jak pierwsi uchodźcy polscy stanęli na ziemi afrykańskiej. Jechali z dużym zaniepokojeniem, obawiali się, że wchłonę ich straszna podzwrotnikowa dżungla afrykańska, pełna dzikich zwierząt i niebezpieczeństw. Jakież było ich zdziwienie, kiedy znaleźli się na płaskowzgórzach, które bardzo często przypominały im kraj rodzinny. Jeszcze bardziej byli zdziwieni, kiedy w tym podzwrotnikowym klimacie musieli nakrywać się dodatkowym kocem, bo okazało się, że w Afryce też bywa zimno.

Osiedla polskie pobudowane przez Anglików bardzo szybko zaczęły nabierać wyglądu wsi polskiej. Z tą różnicą, iż są to wsie „babskie”,

procent mężczyzn jest znikomy. W jednym z osiedli w Tanganice na 500 mieszkańców, jest tylko 20 mężczyzn, przeważnie ludzie starych lub inwalidów. Jakże w tych warunkach wygląda życie codzienne w takim osiedlu i jak wygląda praca? Wyzbywając się męskiej zarozumiałości, należy z uznaniem wyrazić się o wysiłkach naszych uchodźczyń. W wielu wypadkach nie tylko współzawodniczą one z mężczyznami, jako równi z równymi, ale często ich przewyższają. Coraz liczniej nasze uchodźczynie napływają do wojskowej służby pomocniczej. Przez władze brytyjskie, które je zatrudniają, są bardzo wysoko cenione i cieszą się już dużą popularnością.

Poza codzienną rutyną w pracy po osiedlach, nad utrzymaniem w dobrym stanie zabudowań, domów dróg i ogródków, poza pracą na roli, będącą wyrazem dążenia do samowystarczalności osiedli, wszędzie uruchomiono już różne warsztaty ślusarskie, krawieckie, tkackie szewskie itd., które przede wszystkim starają się pokryć zapotrzebowanie wewnętrzne. Są jednak dziedziny pracy pozwalające na produkcję artykułów, mających zapewniony zbyt na zewnątrz. Nasza sztuka ludowa cieszy się wielkim powodzeniem wśród miejscowego społeczeństwa angielskiego, Mała wystawa sztuki ludowej, zorganizowana w związku z uroczystościami 3 Maja w Nairobi, była wielkim sukcesem. Wszystkie eksponaty zostały sprzedane i otrzymano tak wielką ilość zamówień, iż warsztaty tkackie w osiedlach będą miały dosyć pracy na kilka miesięcy.

Kiedy uprzytomnimy sobie, że uchodźcy nasi przybywając do osiedli zastali tylko puste domki z prymitywnym umeblowaniem, to zdamy sobie sprawę z tej olbrzymiej pracy, jaka została wykonana, by nadać im dzisiejszy wygląd. Jest niewątpliwie bardzo dużo do zrobienia, ale to, co już osiągnięto, świadczy, że uchodźstwo nasze zaklimatyzowało się już w warunkach afrykańskich, a praca jego i wysiłki są na dobrej drodze.

Wśród uchodźstwa polskiego w Afryce Wschodniej, dzieci stanowią pokaźny procent. Na 12.000 uchodźców, jacy znaleźli się w Ugandzie, Tanganice i obu Rodezjach, jest ich przeszło 5.000. Dużo jest sierot. Nie będzie przesadą, jeżeli powiem, że nadają one specjalny charakter naszemu uchodźstwu. Najprędzej się zaklimatyzowały. W warunkach afrykańskich rozwijają się bujnie. Wszędzie powstały wkrótce po ich przybyciu drużyny harcerskie, które wydają własne pismka, zorganizowano teatry i teatrzki, w których dzieci w naprędce robionych kostiumach regionalnych śpiewają i tańczą nasze tańce narodowe. One to w większym stopniu niż matki zapoznały miejscowe społeczeństwo angielskie z naszym folklorem; występy dzieci w stolicy Keni, w Nairobi, czy w stolicy Ugandy, w Campalli, cieszyły

się niebywałym powodzeniem. Oczywiście jest to w znacznym stopniu zasługa kierowników, ale one to właśnie dowiodły tutejszemu społeczeństwu angielskiemu, jak wielka jest siła i tradycja kultury polskiej. Nie należy zapominać, że wśród wykonawców było wiele dzieci liczących od lat 3 do 6-ciu. Występy dzieci nie tylko były rewelacją dla Anglików, ale i dla Polaków, którzy się im przyglądali. Napętniały one otuchą serca. Jedną z dziennikarek angielskich, która była na przedstawieniu naszych dzieci w Nairobi, napisała do redakcji „Polaka w Afryce” wzruszający list, w którym między innymi pisze, iż rodzice tych dzieci mogą być dumni i pewni jednocześnie, że pokolonie, do którego należą ich dzieci, będzie chlubnie kontynuowało dzieło tak tragicznie przerwane przez wojnę.

Tragedią naszego uchodźstwa są trudności, z jakimi walczy szkolnictwo. Podziwiać należy, że w tych ciężkich warunkach — bez podręczników i fachowych nauczycieli — praca wydaje tak nadzwyczajne wyniki. Nauczyciel wyklada z pamięci, dzieci uczą się z notatek. Cóż może być bardziej wzruszające od listów, jakie otrzymuje „Polak w Afryce”, w których dzieci i nauczyciele piszą, iż w szkołach uczą czytać z jedyne-go pisma, wydawanego we wschodniej Afryce, dwutygodnika „Polak w Afryce”. Jeżeli z powodu braku podręczników cierpi systematyczne nauczanie, to jednak odbywa się niemniej ważna praca wychowawcza. Rezultaty jej są szczególnie widoczne w sierocińcach, gdzie dzieci znajdują się pod wyłącznym nadzorem swych kierowników, którzy całkowicie im się poświęcają. Praca tych ludzi jest bez przesady pełnym poświęcenia bohaterstwem, ale mogą być dumni z osiągniętych rezultatów. Dzieci, którymi się opiekują, posiadają w najwyższym stopniu tak wartościowe dla nas cechy, jak od najmłodszych lat przejawiające się uspołecznienie i dyscyplinę wewnętrzną.

Dzieci wnoszą do osiedli radość życia nawet w tych ciężkich wojennych warunkach.



POLES IN EAST AFRICA RE-MUSTER THEIR STRENGTH FOR POST-WAR TASKS

The article on this page tells the story of the Poles who were evacuated to East Africa from Russia. It is an eye-witness account of their new mode of life, sent to us by our Special Correspondent in Nairobi.

These refugees, mainly women and children, have found new homes in the jungles of Tanganyika and Uganda.

Thanks to the hospitality of their British hosts, they are rapidly recovering from a long period spent under most unfavourable conditions. The climate, too, has helped in this respect as it is very much akin to that of Poland.

And now, working in healthy and agreeable surroundings, they are re-mustering their strength for the immense task of re-building the new Poland after the war.

1. Polskie dzieci przed domem misyjnym w Mukopi, Uganda
2. „Krakowiak” w ogrodzie Domu Polskiego w Mukopi, Uganda
3. Osiedle w Koja, Uganda
4. Główna ulica w Kidugala, Tanganika
5. Osiedle w Kidugala
6. Dziewczęta polskie na ćwiczeniach
7. Na wybrzeżu jeziora Wiktorii
8. Grupa uchodźców w Tanganice
9. Dom administracji w Kidugala
10. Kolonia w Ifunda, Tanganika





„KNOCK-OUT” LOTNICZY

Włoska załoga Pantelarii poddała się po 72 godzinach bombardowania przez lotnictwo i flotę sprzymierzonych. Brytyjska załoga Malty nie załamała się po 9.387 godzinach niemiecko-włoskiego „Blitzu”.

Przeciwstawienie powyższe narzuca się niemal każdemu z nas. Jest jaskrawe, wymowne i mało oryginalne. Istotnie wyższość żołnierza angielskiego nad żołnierzem włoskim nie podlega i chyba nigdy nie podlegała żadnym wątpliwościom. Tak samo powszechnie wiadomo, że mocarstwa sprzymierzone mają dziś bezwzględną przewagę lotniczą nad państwami „osi”. Znaczenie strategiczne Malty, Pantelarii, Lampeduzy i Linosy było również wielokrotnie podkreślane i omawiane. Już w r. 1938 głośny publicysta i geopolityk niemiecki A. Schopen w książce p. t.: „Rozstrzygnięcie na Morzu Śródziemnym” — wyraził pogląd, że przyszła wojna zakończy się na Morzu Śródziemnym. Tędy bowiem biegnie kręgosłup — droga imperialna Wielkiej Brytanii, łącząca metropolię z Indiami, Cejlonem i Australią.

Zwycięstwo aliantów na wyspach cieśniny sycylijskiej ma jednak niewątpliwie znaczenie jeszcze głębsze. Już sam sposób w jaki nastąpiło zajęcie Lampeduzy był w pewnym stopniu symboliczny. Wskutek braku benzyny, pilot angielski sierżant Cohen zmuszony był do lądowania na małej, nieprzyjacielskiej wysepce. Ku zdumieniu skromnego lotnika komendant włoskiego garnizonu przyjął go jako zwycięscę i wręczył mu uroczysty akt poddania się całej załogi władzom

brytyjskim. Sierżant Cohen nazwany później przez kolegów „królem Lampeduzy” — wystartował na swoim „Spitfire” do Tunisu, wioząc w kieszeni dowód „zdobycia” włoskiej bazy lotniczej i morskiej. Triumf jego nie jest jednak dziełem przypadku. Tak samo jak nie jest dziełem przypadku rzucenie ręcznika na środek ringu bokserkiego, co jak wiadomo oznacza poddanie się jednego z przeciwników. Sędzia przerywa wtedy walkę i ogłasza wynik: „techniczny K. O.”.

Zdobycie Lampeduzy jest właśnie takim „technicznym K. O.”, a ściślej mówiąc jest to „K. O.” lotnicze i stratosferyczne.

Dotychczas w historii wojen nie zdarzyło się, aby flota powietrzna samodzielnie zdobyła silnie bronione terytorium nieprzyjacielskie, bez pomocy armii lądowej i oddziałów desantowych. RAF i USAF osiągnęły swój naprawdę epokowy sukces, dzięki użyciu nowej taktyki bombardowania integralnego — bombardowania, które jest możliwe jedynie przy zastosowaniu wielkich bombowców stratosferycznych. Tak zwane stratobombowce nie spełniały do tej pory zadań bojowych w ścisłym tego słowa znaczeniu. „Latające Fortece” i „Liberatory” osiągnęły pułap praktyczny 40.000 stóp, zniżyły lot w czasie natarcia dla umożliwienia załadunku celnego bombardowania.

Samolot znajdujący się w stratosferze jest w prawdzie niewidoczny z ziemi i nie osiągnąłby dla artylerii p-lot., ale i obserwator w stratosferze nie widzi dokładnie tego, co dzieje się na lądzie. Po-



goda na wysokości 40.000 stóp nie ulega zmianom. Temperatura wynosi minus 61 stopni Celsjusza, powietrze jest prawie nieruchome i tylko silna insolecja grozi porażeniem w razie braku środków ochronnych. Słaba widoczność nie stanowi zresztą jedynej przyczyny, dla której unikano dotychczas bombardowań ze stratosfery. Główną przeszkodą w rozpoczęciu tego rodzaju nalołów było niebezpieczeństwo, jakie zagrażało „stratobombowcom” od „stratomyśliwców”. W górnych, silnie rozrzedzonych warstwach powietrza człowiek mógł utrzymać się przy życiu jedynie przy pomocy uszczelnionej kabiny, w której ciśnienie powietrza utrzymywane było na stałym poziomie przez ciągły dopływ sprężonego

tleniu. Przestrzelenie takiej hermetycznej kabiny doprowadzało natychmiast do katastrofy. Lotnik, znalazłszy się w depresji stratosferycznej zostawał natychmiast rozsadzony ciśnieniem własnej krwi. Już na wysokości 25.000 stóp człowiek nie mający maski tlenowej ginął w przeciągu 3 minut, a gwałtowne zmiany wysokości doprowadzały do omdlenia doświadczonych pilotów w pierwszej „niebezpiecznej” warstwie powietrza na wysokościach od 9 do 18 tysięcy stóp. Prócz tego pocisk cekaemu wystrzelony w stratosferze, względnie powoli traci swą szybkość początkową wskutek zmniejszonego oporu powietrza. Tor takiego pocisku jest prawie prosty. To też kula cekaemu, która na ziemi przebiłaby tylko powłokę samolotu, w stratosferze rozrywała grubą warstwę blachy na strzępy.

Lotnisko na wyspie Pantellaria podczas bombardowania



Wszystkie te względy skłaniały dowództwo RAF-u do korzystania z górnych warstw powietrza jedynie do lotów komunikacyjnych. „Latające Fortece” i „Liberatory” odbywały loty poprzedzające wykonanie zadania bojowego w stratosferze, a w chwili bombardowania, gdy były już w zasięgu niemieckich stratosferycznych Messerschmittów, opuszczały się do wysokości 15.000 stóp. Potężne uzbrojenie chroniło je przed myśliwcami „osi”, a obniżenie lotu ułatwiało im bombardowanie.

W ostatniej ofensywie na wyspy cieśniny Sycylijskiej użyto jednak innej taktyki. Tym razem chodziło o zniszczenie całych terytoriów, a nie poszczególnych obiektów. „Latające Fortece” były strzeżone przez stratosferyczne „Spitfiry”, które można było wprowadzić do akcji, dzięki bliskości Malty, stanowiącej obecnie potężną bazę wypadową. Stratobombowce RAF-u niewidoczne z ziemi, chronione przed Heinklami własną eskortą myśliwców siły zniszczenie na przestrzeni setek kilometrów kwadratowych, demoralizując zupełnie przeciwnika. Celność nie odgrywała roli. Myny powietrzne spadające nieustannie z jasnego nieba kruszyły skały, burzyły urządzenia portowe, a przede wszystkim załamywały psychicznie Niemców i Włochów. Generalna próba lotniczego „K. O.” powiodła się w całej pełni. Dla powtórzenia jej nad Europą Zachodnią potrzeba już tylko, aby nowe amerykańskie myśliwce „Republic”, osiągające wysokość 45.000 stóp, przybyły w dostatecznych ilościach na teatry operacyjne.

Naczelnny Wódz wśród żołnierzy w pustyni
(Dokończenie ze str. 7-ej).

Prasa w „ciemie słukana” stanęła na polu, (na którym była zgrupowana dywizja), nieco mętna, bo walenie tłem w sufit pustej „doczki” (Dagde) cwałującej po wertepach pod ręką szoferskich neofitów nikomu nie rozjaśniała świat spojżenia.

Piękny jest śpiew hymnu narodowego z kilku tysięcy żołnierskich piersi przy akompaniamencie trzech orkiestr.

A wieczorem ognisko dywizji. Jedna góra — to scena. Skłon przeciwległej góry — to widownia. Rozpękł się szrapnel od szczytu góry aż w dół, gdzie stała orkiestra i fotele „honoratorów” i tym wawozem ludzkim zstępował Naczelnny Wódz wraz ze świtą.

Wśród skeczów okolicznościowych największą atrakcją był występ wielkiego zespołu góralskiego. Na toż dywizja nazywa się Karpacka, na toż i kapelmistrz orkiestry dywizyjnej dyryguje ciupaga.

Radość była wielka z tych podśpiewków, z tego „witania” Naczelnego Wodza, a z krzesania, a ze skoków przez ciupagi.

Ale największa, z onych nówek dziewczynskich, co szybko przebierały „drobno”, owych kieczy fruujących.

Żołnierzom serca skakały radośnie.

Spojrzałem za siebie, po górze widowni. Mnóstwo ogników papierosowych sięgało w ciemności w zwyz, w niskie wygwiedzione niebo, które oszalało i przebakierowało się w tych tu krajach ze swoją konstelacją, że już nie wiedziałeś człowieka, gdzie się kończy „sierżant” (papieros ze znakiem V) a gdzie zaczyna na ciebie mrugać Wielka Niedźwiedzica. Na dejdzie czas, kiedy Wielka Niedźwiedzica stanie na swoim miejscu, a Bartek na swoim i nijakich zmytek nie będzie.

Ale tymczasem pomykaliśmy z powrotem ku obozowi pod zbakierowanym niebem, prowadzeni z daleka luną bijącą od dzień i noc płonącego gazu ziemnego.

Długośmy jeździli pod samymi pochodniami, wyglądającymi jakby wodospady strzeliły w górę.

Jasno było, a przecież tym smolściej po bokach. Bardzośmy krytycznie mówili o tym tam mojąszowym ślupie.

Lapidarnie to ujął kierowca: dojechał, zgrzytnął „doczką”, a kiedyśmy się z niej gramolili, macając czy też tłuczone czaszki nie zmieniły się z powrotem w ciemie noworodka — strzyknął przez zęby i poczył z wysoka:

— Nijakich słupów nie trza. Je-no mieć czucie w ręku i w oku.

Melchior Wańkowicz



Oto przedwojenna fotografia dworca morskiego w Gdyni. Na pierwszym planie M/S „Piłsudski”. Kochaliśmy nasze morze i broniliśmy je do granic możliwości. Gdynia z Okcywem stawiła opór przez 18 dni. Baza morska na Helu broniła się 30 dni do ostatniego bagnetu. Do polskich pamiętek w Gdańsku dodaliśmy Westerplatte, do 8 dni trwałej obronę 260 żołnierzy przeciw atakom z wody, powietrza i lądu. Od września 1939 roku polskie okręty wojenne pełnią służbę bojową na wszystkich niemiach morzach i oceanach. W walkach tych zdobywają Polacy stawy dzielnych marynarzy i imię dobrych żeglarzy, wzbogacając tradycję morską naszego narodu.

Jadwiga Crechowiczówna

W Czerwień i w Biel

Miałeś dom swój. — Teraz masz bagnę!
Miałeś pole, drogę wśród wierzb,
Teraz — Twoje jest to czego pragniesz!
Teraz Twoje — to, czego chcesz!

Za Kraj biłeś się już we Wrześniu,
Pod bombami runął Twój świat,
Jak pięść męska stwardniały dziś pieśni!
W stał zakrzepła męka tych lat!

Nie szukałeś po świecie — sławy —
Szlak daleki znaczyła — krew!
Ale z krwi tej — wyrosła nienawiść!
Sprawiedliwy, żołnierski gniew!

Przyjdą listy: Umarł ktoś w nędzy —
„Zwalili kolbami na bruk”...
Wtedy w skroniach pulsuje Ci: Prędeży!
Tam się ziemia pali u nóg.

Ty masz mundur, karabin, karier,
Oni — oręż bezbronnych ciał,
Ponad rozpacz jest dziś — Wiara w Armię!
W każdą salwę, w każdy Twój strzał!

Nie zawiedzie oko, nie zdrzy
Ręka, kiedy weźmiesz na cell!
Gdy wichura poniesie Cię szarżę,
W Czerwień — zamśly, w wolności — Biel!

Zaopatrzony — zdolny

Kapral Gwiźdź zgłosił się na izbę chorych.

— Co wam brakuje?
— Cniecie mnie coś w kizkach i mdli w dołku!
— Nie widzę, żeby was mdliło — zauważył lekarz.
— Tego się nie widzi, tylko się czuje, — odparł filozoficznie kapral Gwiźdź.
— Rozbierzcie się do pasa — zawyro. kował lekarz.
Gwiźdź ściągnął koszulę i zrezygnowany poddał się badaniu.

— To was boli?
— Nie...
— A tu?
— Nie...
— No, a tu??
— Nie...
— Możecie się odziać. Nic groźnego wam nie dolega. Weźmiecie trochę oleju, wstrzymacie się dzień lub dwa od mięsa, najlepiej czystą herbatkę, no a jutro będzie dobrze.

Następnie lekarz wydobyl piękne pióro i w księdze chorych machnął sentencjonalne. „Zaopatrzony — zdolny!”

Do pewnej placówki reperacyjnej na Śródkowym Wschodzie przyholowano mały wóz sanitarny do naprawy. Dyrujący mechanik kapral Gwiźdź Arkadiusz zapytał kierowce:
— A ten grat to skąd?
— To wóz służbowy por. lekarza Y.
— Taak... uśmiechnął się Gwiźdź — to fajno!

— Dobrze, „zbadamy”!
Kapral Gwiźdź z powagą podniósł maskę motoru. Uderzył lekko kluczem w spracowane cylindry, następnie poruszył wałem korbowym.

— Hm... coś nie klapuje.
Przez kilkanaście minut Gwiźdź manipulował w motorze spracowanego wozu, któremu dawno patrzyła się już kategoria „E”. Wreszcie podał coś, przycisnął świecę i nacisnął starter.

— Gazuje — mruknął zamykając maskę motoru.

Pod wieczór w warsztacie zjawili się lekarz Y. Zauważywszy okrągłą i rumianą twarz kaprala Gwiźdza zapytał:
— No i jak tam z moim wozem panie majster, co?

Gwiźdź bez słowa podszedł do wozu. Nadusił starter, który „popiłował” z minutę zanim wóz zdecydował się zapalić. Coś tam wprawdzie tłuło się i syczało, ale maszyna pracowała.

Lekarz nie był zachwycony. Kręcił głową, nim jednak zdążył wypowiedzieć swoją opinię, kapral Gwiźdź zgasił motor i uderzywszy dłoń w maszynę zarokował z powagą:

— Zaopatrzony — zdolny. Ras

An exhibition of photographs, posters and cartoons made by soldiers of the Polish Army in the East was opened recently in the Exhibition Hall of the Societe' Orientale de Publicite', 24 Shariah Galal. (Behind the Cosmo Cinema, Sh. Emad el Din).

On the next page we reproduce four photographs, which we have selected from many interesting pictures, now on show in Cairo.

The exhibition will remain opened until Tuesday 29th of June.

WYSTAWA FOTOGRAFII

PLAKATÓW

ARMIA POLSKA NA WSCHODZIE

Wystawa: „Armia Polska w fotografii i plakacie” ma już swoją historię. W październiku z. r. pokazano ją w Teheranie, ale wówczas eksponaty obejmowały jedynie temat: „Armia Polska powstała w Rosji”. Dopiero w Iraku, po połączeniu się naszych oddziałów przybyłych z ZSRR z Brygadą Karpacką powstała wystawa pod obecnym tytułem. Przedstawia ona wszystkie drogi, wszystkie etapy oddziałów naszych tworzących A. P. W. I stopy orenburskie, i Turkiestan, i Tobruk, i Gazalę, Egipt i Palestynę, Iran i wreszcie Irak.

Autorzy wystawy zwracając się do widza zaznaczali, że „nie są to zdjęcia artystyczne, są to poprostu kartki z pamiętnika żołnierza-fotografa. Robiono je w trudnych warunkach, stale pod znakiem braku materiału laboratoryjnego”. W recenzjach natomiast krytycy stale podkreślają, że „autorzy są zbyt skromni” i chwałę artystyczną stroną eksponatów.

Dział graficzny obejmuje plakaty propagandowe wykonane przez żołnierzy A. P. W., fotomontaże, mapy. Jedną z nich, wielką mapę całego świata pokrytą jest dziwną siatką: przedstawia szlaki przebyte przez żołnierzy polskich po wrześniu 1939 i miejsca walk naszych oddziałów. Gęsta jest ta siatka, obejmuje wszystkie kontynenty, a jednak niewyczerpująca. Ze względów czysto technicznych musiano ograniczyć się wyłącznie do podania najważniejszych dróg.

Oglądano wystawę w Bagdadzie, w Jeruzolimie, w Tel-Awivie. Broszurę propagandową drukowano w językach: angielskim, francuskim, arabskim, hebrajskim i polskim. Tłumaczenia eksponatów również są wielojęzyczne. Ton wszystkich krytyk — bardzo przychylny, ciepły. Publiczność przyjmowała serdecznie, z dużym zainteresowaniem. Wystawa taka jest propagandą jednego z odcinków naszego wysiłku zbrojnego i, można stwierdzić to bez przesady, spełnia swoje zadanie.

Obecnie włączono do niej karykatury Dobrzyńskiego i otworzono ją w Kairze. Do tego etapu wystawy wrócimy jeszcze w następnym numerze.

P. Mart.



POLAK W AFRYCE

DWUTYGODNIK POSWIECONY SPRAWOM UCHODZTWA POLSKIEGO W AFRYCE WYDAWANY PRZEZ DELEGATURE MIN. P. & O. S. W NAIROBI.

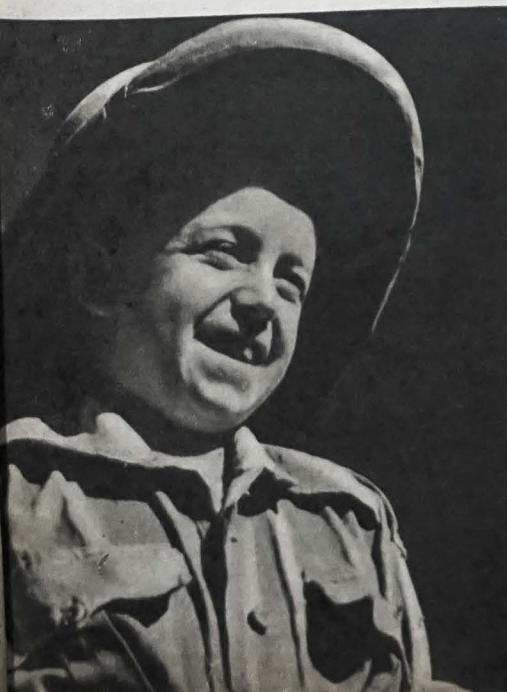
Redakcja nasza otrzymała kilka numerów „Polaka w Afryce” wydawanego w Nairobi przez Delegaturę Ministerstwa Opieki Społecznej. Jest to niewątpliwie jedno z najbardziej interesujących pism polskich wydawanych na wychodźstwie. Mówi ono bowiem o życiu wielkiej grupy Polaków rzuconych w kraje tropikalne, w okolicy, których same nazwy brzmią dziwnie i egzotycznie. Szlakami, którymi wśród tysięcy niebezpieczeństw szli Stanley, Livingston, Scott, Grant, Burton — naszymi, którymi ciągnęły karawany niewolników obciążone kością słoniową, dziś chodzą Polacy, ci niestrudzeni wo-

jenni podróżnicy. Wszystkie ich szlaki prowadzą do Polski — te przez tundrę polarną i te przez podzwrotnikowy stęp afrykański. Jest coś w tym wszystkim twardego, nieustępliwego, chłopskiego. Niepokonana wydaje się ta pierwotna polska odporność na przestrzeń, na klimat, na czas.

„Polak w Afryce” — jak stwierdzają liczne listy jego czytelników — jest w wielu osiedlach jedynym drukowanym polskim słowem. Jest gazetą i elementarzem, zastępując książkę, teatr i kino, jest wreszcie łącznikiem ze światem, z Krajem, z rządem, armią i wychodźstwem

polskim na innych kontynentach i w innych krajach. Zadania, jakie spełnić ma to pismo są wyjątkowo piękne i doniosłe. Według naszych informacji, Delegatura Ministerstwa Opieki Społecznej wysłała kilkaset egzemplarzy „Polaka w Afryce” do Armii.

Dla nas „Polak w Afryce” jest przede wszystkim informatorem o losie naszych bliskich w osiedlach afrykańskich, o ich troskach i potrzebach, o ich sprawach codziennych i życiu, które jest tak odmiennie od naszego. Będzie też naszymi staraniem utrzymywać ścisły kontakt z wychodźstwem w Afryce i na łamach „Parady” zamieszczać będziemy niewiele więcej reportaży, informacji i zdjęć z tamtych terenów. W bieżącym numerze drukujemy pierwszy reportaż z serii, pióra wybitnego dziennikarza, obecnie redaktora „Polaka w Afryce” Nairobi.



Otóżka: „ŚWIĘTO ZJEDNOCZONYCH NARODÓW” — fot. Gidal

- Str. 3: fot. „A. P. W.”
- Str. 4-7: fot. „A. P. W.”
- Str. 8-9: fot. K. Kazimierzczak
- Str. 10-11: rys. E. Longman, fot. „Parade”
- Str. 13: fot. W. Ostrowski i „Parade”
- Str. 14: fot. „A. P. W.”
- Str. 15: fot. „A. P. W.”
- Str. 16: „Osiedle polskie w Kidugala” — fot. K. Kazimierzczak

Układ graficzny: JERZY MŁODNICKI

